

Antoni Słonimski

Spowiedź dziecięcia w starszym wieku

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1 (19), 171-176

1975

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Świadectwa

Antoni Słonimski

Spowiedź dziecięcia w starszym wieku

Redaktor „Tekstów” zachęcił mnie do szczerej wypowiedzi na temat poezji, odpowiedzialność więc za tę nieco agresywną „Spowiedź” będzie poniekąd wspólna. Mam napisać, co myślę o poezji, a zwłaszcza o przedwojennej i tej dnia dzisiejszego. Tytuł „Teksty” to dobry tytuł, bo etymologicznie skoligacony ze słowem „tkać”, a nie z pospólstwem materiałów tekstylnych.

Jeśli poezję porównamy do tkaniny, to chciałbym podejrzeć drugą jej stronę, zawiłą płataninę wątków i osnowy, która rzutuje pięknie na właściwy wzór materii. Separuję się od modnego wyrażenia „tkanka wiersza”, bo to nic nie znaczy, i obiecuję w ogóle trzymać się z daleka od terminologii semiotyków i całej kokieterii lingwistycznej, na brak której chyba czytelnicy „Tekstów” skarżyć się nie mogą. Będzie to raczej geografia niż geologia, klasyfikacja cech podatnych opisowi, wyliczenie przeciwieństw raczej niż wartościowanie.

Pierwszą różnicą ważną, na którą chcę zwrócić uwagę, jest zbyt powierzchnowe przejęcie wzorów wersyfikacji obcych naszej tradycji, a zapożyczonych niewolniczo z poetyki awangardy francuskiej początków stulecia. Zaczniemy od formy, którą pozwolę sobie nazwać „kokieterią typograficzną”. Oto przykład wiersza młodego obiecującego poety:

*Była na balu Prasy
w gustownym surduciku*

Nazajutrz mówili iż
 Ona jest w ciąży
 Albowiem tylko kobiety w ciąży
 noszą takie surduciki
 Załamała się
 jak słaba gałąź
 Opuściła głowę i ręce
 mówiąc
 Przecież ja
 znam mężczyzn tylko ze słyszenia
 A oni czepiają się surducika

Nie wiem, dlaczego słowa „Nazajutrz” i „Albowiem” autor pisze dużą literą, czym się kieruje w układzie wersów. Nie znam powodów, ale je szanuję.

A teraz poddamy ten utwór przykrej, bo bardziej wymagającej próbie prozy, i złożmy „wiersz” zwyczajnie po dziennikarsku:

„Była na Balu Prasy w gustownym surduciku. Nazajutrz mówili, iż ona jest w ciąży, albowiem tylko kobiety w ciąży noszą takie surduciki. Załamała się jak gałąź. Opuściła głowę i ręce mówiąc: przecież ja znam mężczyzn tylko ze słyszenia, a oni czepiają się surducika”.

Utwór pozbawiony kokieterii typograficznej staje się zawstydzająco ubogi. Mogę pocieszyć młodego autora, że wiele tekstów jego starszych i powszechnie uznawanych kolegów również nie wytrzymuje surowej próby prozy. Oto przykład jednego z seniorów awangardy:

Wcieleni w cenne senniki życia
 Zapominamy o pytaniu — ile?
 Leonia kupując na spłaty
 Maszynę do szycia
 kalkulację prowadzi miłą i zawiłą
 listopad. Grudzień... Luty
 raty
 po 20 złotych

To samo zwyczajnie:

„Wcieleni w cenne senniki życia, zapominamy o pytaniu — ile? Leonia kupując na spłaty maszynę do szycia, kalkulację prowadzi miłą i zawiłą: Listopad. Grudzień. Luty, raty po dwadzieścia złotych”.

Jest to kawałek bezbarwnej prozy opisowej, w której razi tylko fakt, że „senniki życia” są cenne. Nie wiemy również, dlaczego kalkulacja spłacania rat po 20 złotych miesięcznie jest „miłą i zawiłą”.

Oczywiście, są to przykłady krańcowe. Wiele jest kokieterii drukarskich na wyższym szczeblu, jak również uznać trzeba, że czasem pewnego typu esej poetycki zyskuje na specjalnych zabiegach typografii, bo mobilizuje i zmusza czytelnika do bardziej czynnej roli w percepcji tekstu. Miłosz. Herbert.

Drugą, niebłądzą różnicą wspomnianych dwu epok, jest zanik fonetycznych wartości wiersza. W różnych czasach różne deklamowano poezje. Homer nie przetrwałby, gdyby nie heksametr. Deklamowano Horacego i Danta, „Odę do młodości” czy „Statek pijany”. Moje pokolenie umiało na pamięć wiersze swoich ulubionych poetów. Jako uczeń Szkoły Sztuk Pięknych znałem prawie wszystkie dostępne wtedy wiersze Norwida i w Szopce Szkolnej śpiewano o mnie kuplecik: „Trochę przypomina Żyda i cytuje wciąż Norwida”. Wygląd się utwierdził, pamięć ostatnio zawodzi. Wierszy awangardowych deklamować nie sposób, bo ich nie sposób nauczyć się na pamięć. Często na dyskusjach z młodzieżą proponuję, aby ktoś z obecnych powiedział wiersz wychwalanego przez dyskutantów poety. Po dłuższej kłopotliwej ciszy już „na chama” proszę, żeby przynajmniej powiedzieli tytuł jakiegoś wiersza. Jeśli na sali nie ma zawodowego polonisty, i tytułu nawet nikt nie pamięta. Wiersze awangardowe są niemożliwe do zapamiętania, a brak rytmu lub rymów wiersz zubaża. A jednak recytuje się wiele awangardowych wierszy, ale w warunkach, które są też ważną różnicą między dawnymi a nowymi laty. Mam tu na myśli niezliczone jesienie wiosny i zimy poetyckie w Olkuszu, Kokłuszu i Koluszkach, nagrody i konkursy, gdzie w jury czujni awangardziści pilnują swoich interesów. Wychodzą almanachy i arkusze poetyckie urodzone do kosza od śmieci. Debiuty są niesłychanie ułatwione. Setki tomików ukazało się w ostatnich latach. Któż nazwiska autorów wyliczy? Sprawadza się tłumy grafomanów z prowincji, obwozi się ich autokarami po zakładach pracy, gdzie pod rygorem i nakazem uciemiężeni ludzie pracy wystuchują niekomunikatywnego, egocentrycznego bełkotu zarozumiałych fachowców od „młodej poezji”. Bo młody poeta to dziś zawód i tytuł do chwały. Ja osobiście zawsze wstydzilem się właśnie tych dwu określeń. Podawałem się za starszego niż byłem, a zawód wykrętnie nazywałem „pisanie do gazet”. Gdy w czasach polskiego października sprawowałem funkcję prezesa Związku Literatów Polskich, przyszło do mnie dwu takich

zawodowców. „Czy pan prezes wie, że w Polsce młodzi poeci umierają na gruźlicę?” Powiedziałem, że umierają również młodzi inżynierowie i stare bibliotekarki i że trudno jest żądać pierwszeństwa w leczeniu tylko dlatego, że ktoś napisał parę nie bardzo sensownych wierszy. W „Nowym Wyrazie” skarżył się taki jeden młody, że zarabia poezją ledwie dwa tysiące pięćset złotych miesięcznie, to znaczy dwa razy tyle co asystent na politechnice czy pielęgniarka w szpitalu. A kto i gdzie poezją zarabiał? Eliot pracował w banku nim dostał Nobla, w Kownie jeden z nauczycieli tylko w wolnych chwilach pisał wiersze.

Trzecią różnicą, którą wspomnieć pragnę, to właśnie te zarobki. Ja na stare lata dostaję mniej od wiersza niż debiutant z grupy owłosionych, bo płacą dziś od linijki. Ja się trzymam aleksandryny a brodacz rozbija wiersz na atomy i za słowo „iz” osobno wydrukowane bierze złotych polskich osiemnaście. Doszło do tego, że Szekspira tłumaczą „schodkami” Majakowskiego. W ten sposób z sonetu można wyciągnąć nie czternaście linijek, a czterdzieści osiem.

Jak więc jest dziś z tą poezją? Nie jest tak źle. Trochę zmieniło się na lepsze, bo rotacja konwencji przywraca nam znów poezję komunikatywną. Poeci zbuntowani, autorzy „czarnych wierszy” jeśli chcą przekazać swój gniew i sprzeciw, szukają drogi, którą ten „message” trafi do odbiorcy. Wracają do form dawnych. Weźmy za przykład, porównajmy nową i dawną retorykę, jaką jest apostrofa. Oto co nam mówił niedawny prorok awangardy:

transmitując ruchy i trud mego ciała
 na struny głosowe i na napęd
 Napomykającego o nich znacząco języka,
 uniknąłbym
 rozwijającej się w bezmiar bez was hiperboli
 Gdybym był
 prócz linii słów
 wyświetlających
 obraz zaczętego przeze mnie
 i rzutowanego — po zapłonie pamięci — jak z wyrzutni
 artystycznego satelity światła
 nie żądał
 żebyście wy, inni (lecz o ile inni?)
 wprawiali wszyscy swoją wolę w składnie...

Tego nie można spamiętać i nie warto. Autor zwraca się do czytelnika z pogardliwym nakazem. Widać nie bardzo mu na nim zależy. Odpowiedzmy mu pięknym za nadobne. O ileż skromniej użył apostrofy wspomniany już nauczyciel kowieński:

(...) wasze cudzoziemskie twarze
Mają obywatelstwa prawo w mych marzeniach.

A kończy ten wiersz „Do przyjaciół Moskali” najpiękniejszą strofą w poezji polskiej:

Kto z was podniesie skargę, dla mnie jego skarga
Będzie jak psa szczekanie, który tak się wdroy
Do cierpliwie i długo noszonej obroży,
Że w końcu gotów kasać — rękę co ją targa.

Na tej strofie zatrzymajmy się chwilę. Pragnąłbym wrócić do początkowych rozważań nad tajemnicą tkaniny, która zawiła płataninę wątku i osnowy rzutuje na drugą stronę materii rysując się wzorem czystym i bezbłędnym. Jest w tej strofie rytm, rym, fraza poetycka, metafora, uczucie, myśl i historia. I dlatego te cztery linijki są nieprzetłumaczalne. Nikt nie zdoła z podłoża etnicznego wyrwać tych czterech wierszy tak, aby nie uronić ich blasku. Czyżbyśmy byli blisko definicji tego, co jest poezją? Może właśnie ta nieprzetłumaczalność jest sekretem? Ciepło, ciepło. Ale niezupełnie. Rozpoznajemy przecież poezję w drgnieniu pozornie obojętnych sylab. Nagle objawia się wśród słów pustych i znika. Jedno przechylenie akcentu łamie ją. Pamiętam, że kiedyś na „Dziadach” Dama Młoda, gdy ma powiedzieć: „Czemuż to o tym pisać nie chcecie Panowie?” — pomyliła się i powiedziała: „Czemuż to o tym nie chcecie Panowie pisać?” — drgnąłem obrażony, bo brutalnie zbudżony ze snu poezji.

Mówiąc o elementach wspomnianego czterowiersza wyliczyłem prócz rymu i rytmu również i historię. Okazuje się jednak, że tajemnica nie ukrywa się w odczuciu zbiorowym, we współdzwięku narodowym, nie jest więc poezją to, co patriotyczne czy choćby okolicznościowe. Lem w „Filozofii Przypadku” uzbrojony po zęby w cholerną erudycję naukową i literacką dobiera się do zdefiniowania dzieła sztuki i przyznaje się do porażki, bo problem wywodzi go „na urwiska ontologii”, spycha do zapadni paradoksów logicznych i antynomii, mamy tysiącami zagadkowych pytań, ludzi

i ciąga na manowce „formy” z „treścią”, straszy bezdennymi przestworami znaczeń, a także innymi nieskończonościami, które pozbawiają tropiciela prawdy — «tchu, zdrowia, rozeznania». Tu Lemowi nie wierzę, bo tchu ani zdrowia on nigdy nie traci, czego mu nadal życzę.

W każdej dyskusji, już po skonfrontowaniu argumentów, przypominamy sobie poniewczasie lepsze przykłady i słuszniejsze racje. Warto by założyć „Biuro zapomnianych argumentów”. Poruszając temat niniejszy nie mogę się pozbywać pewnych powtórzeń. A więc przypominam sobie teraz, co już powiedziałem w dyskusji z Rogozińskim na temat poezji Grochowiaka, którą to dyskusję nazwałem Grochowiakiem o ścianę. Od tego czasu zmienił się układ wzajemny naszych sądów, ale nie przekonał mnie Rogoziński pisząc o zdobyczach formalnych awangardy: „Gdyby jednak nie istniały, rozczytywałbym się dziś — i nie ja jeden — na tysiące w „Bogurodzicy”, a nie między innymi w Słonimskim”. Odpisałem, że mógł machnąć się jeszcze dalej w przeszłość o lat parę tysięcy aż do Homera, a ten dałby radę i mnie, i Grochowiakowi. Poezja się nie rozwija i Hemar nie jest lepszy od Homera dlatego, że późniejszy. Nie lubię grabarzy niecierpliwych, tych co kolejno kopali groby poezji, powieści, teatrowi, telewizji. Nie znam jej miejsca i czasu i rezygnuję z odkrycia sekretu, z odnalezienia definicji. Porównanie poezji z tkaniną spruło mi się w ręku. Jeśli szukać mamy jakiejś analogii, to chyba w prądzie elektrycznym, który z kawałka żelaza czy splątanych drutów tworzy magnes. Od Oersteda do pierwszej formuły Coulomba, magnetyzm sięgnął poprzez Faradaya i Maxwella do eksperymentów Becketta, którego poznałem w Londynie, co wspominam, bo jestem snobem jeśli chodzi o wiedzę ścisłą, uprawianą w mej rodzinie od paru pokoleń.

Pozwolę więc sobie zakończyć moją dysertację paru zdaniem z „Magnetyzmu” prof. J. Rajskiego: „(...) nasuwa się podejrzenie, że powód istnienia magnetyzmu musi tkwić głębiej w jakichś nie znanych nam jeszcze, ogólnych prawach przyrody”. Więc gdzie? „W trzech przypadkach: dla Ziemi, Słońca i pewnej gwiazdy podwójnej oznaczonej numerem 78 w gwiazdozbiornie Panny (...)”. Nim nauka określi poezję skrótem matematycznym, zostawmy ją tam gdzie magnetyzm, bo miejsce wydaje mi się ładne i stosowne.